



Mirosław Derecki

O ROZRYWCE I NIE TYLKO
ROZMOWA Z JERZYM GRUZĄ

- Mamy właśnie za sobą wielką imprezę - sopocki festiwal piosenki, którego był Pan głównym reżyserem. Ale nie tyle o festiwal chciałbym pytać, co o sprawy rozrywki w ogóle. Jest Pan w tej mierze swego rodzaju „instytucją” i można by chyba nawet mówić o pewnej „szkole” Gruzy w programach rozrywkowych TV. Przypomnę tutaj przede wszystkim telewizyjne: „Poznajmy się” i „Małżeństwo doskonałe”, które miały taki duży oddźwięk i tak dobrze sprawdziły się w szerokich kręgach odbiorców, chociaż wcale nie były łatwe. Co stanowiło o ich sukcesie? Jaka jest recepta na dotarcie do szerokiej publiczności przy zachowaniu właściwego poziomu artystycznego?

- Kiedy ostatnimi czasy telewizja postanowiła poświęcić mi jeden z „dni autorskich” i kiedy przy jego realizacji sięgnięto do telewizyjnych archiwów, gdzie spoczywały „Poznajmy się”, „Małżeństwo doskonałe” i inne, oczekiwaliśmy wraz z Jackiem Fedorowiczem z dużym niepokojem, jak owe zanotowane na dawnym telerecordingu „szczątki” będą się jawiły dzisiejszym młodym redaktorom, lektorom, technikom przygotowującym program - nie mówiąc już o dzisiejszej publiczności, która zobaczy to na małym ekranie. I... okazało się, że to, co proponowaliśmy przed laty, nadal bawi i cieszy dzisiaj. Nawiasem mówiąc, dopiero teraz dostrzegłem w pełni bardzo istotny element tamtych programów: element „elegancji na estradzie”, - co zresztą było wielką zasługą Fedorowicza. Ale przede wszystkim, potwierdziła się jeszcze raz zasada wspólnej zabawy, na jakiej były oparte tamte programy. Publiczność bawiła się w małej salce STS-u, w zasięgu widzenia kamer telewizyjnych, ale ta zabawa przenosiła się do mieszkań telewidzów. Grono znajomych, którzy przychodzili do STS-u powiększało się coraz bardziej o tych wszystkich, którzy śledzili program i którzy żyli się z nim. Pamiętam jak szedłem kiedyś latem, w czasie emisji jednego z tych programów przez któreś z warszawskich osiedli i jak zaskoczył mnie równoczesny, gromki wybuch śmiechu dochodzący z wszystkich mieszkań po jakimś dowcipie Fedorowicza czy Kobieli. Wydaje mi się też, że potrafiliśmy nauczyć wielu ludzi patrzenia na siebie z pewnym dystansem, nieobrażania się z powodu przedstawienia przez innych w krzywym zwierciadle. Pod warunkiem oczywiście, że nie będzie w tym złośliwości. Tutaj bardzo się sprawdziły i

przydały nasze akcje z ukrytą kamerą. Poza tym, trzeba pamiętać, że „wspólna zabawa” nie ograniczała się nigdy do jakiegoś tam „bawienia się własnym kosztem”: w programie przygotowanym w związku z 600-leciem urodzin Szekspira występowało aż siedmiu Hamletów, ale brali w nim udział także wybitni krytycy, teatrologi, którzy nie tylko dobrze się bawili, ale i potrafili przekazać widzom wiele ze swej wiedzy... Wreszcie - bardzo istotny był fakt odniesień naszych programów do tego, co się działo naokoło. I tutaj chyba trzeba widzieć główną drogę dotarcia do szerokiej publiczności: rozrywka musi mieć odniesienia do tego wszystkiego, co nas otacza, musi czerpać z tego swoje siły i pomysły. To samo można by powiedzieć o piosence... Mówi się, iż ostatnie „Opole” to bełkot tekstowy i nuda. A z czego to wynika? Otóż w znacznej mierze właśnie z faktu zagubienia w piosenkach tego wszystkiego, co się dzieje wokół nas, czym żyjemy...

Wracając jeszcze do „Poznajmy się” czy „Małżeństwa doskonałego”: i one i szereg innych charakteryzowały się tym, że były robione „na żywo”, przy udziale spontanicznie reagującej publiczności. Tymczasem dzisiaj liczba programów rozrywkowych nagrywanych u nas w ciszy studia jest zastraszająco duża. Trudno się śmiać przed milczącymi kamerami...

- Ale przecież krakowskie „Spotkania z balladą”...

- Tak. One są jednym z chlubnych wyjątków. Mają swoją własną publiczność i atmosfera panująca na sali, w studiu, potrafi przenieść się - tak jak to bywało w naszych programach - do mieszkań widzów. No i dochodzi jeszcze atmosfera „studenckości” tych programów; podobną atmosferą wnosili Fedorowicz i Kobiela związani przecież z tradycją „Bim-Bomu”: dobrego samopoczucia, umiejętności podpatrywania życia, błyskawicznej, inteligentnej i przy tym eleganckiej riposty. Oczywiście, niejedynym dzisiejszym programem telewizyjnym toczy się z publicznością, ale owa siedząca przed kamerami publiczność spełnia po trosze rolę rekwizytu: jest zbyt wyreżyserowana, zbyt zmęczona licznymi próbami, żeby być naprawdę sobą. Tymczasem na całym świecie następuje w telewizji coraz większy nawrót do naturalności. I program, który na przykład ma śmieszyć, jest prezentowany „na żywo”, przed autentyczną publicznością i rejestrowane są szczególnie troskliwie reakcja zgromadzonych na sali widzów. Myślę, że na przykład nawet mój „Czterdziestolatek” w takiej telewizji angielskiej, w BBC, zgrywany byłby już za śmiechem, z atmosferą odbioru pierwszych, autentycznych widzów tego serialu. A jeżeli o rodzaj i poziom dowcipu chodzi, - jaki odpowiada polskiej publiczności? Myślę, że jest ona jedną z najinteligentniejszych na świecie, łatwo chwyta każdy dowcip, każdą aluzję i nie ma chyba sensu zastanawianie się nad jakąś „szeroką” czy jakąś „wąską” publicznością.

- Panuje przekonanie, że jest Pan reżyserem par excellence komediowym i to w bardzo szerokim „rozzrucie”: od widowiska typu show, przez różne bardziej kameralne formy estradowe, po komedie filmowe i filmowy komediowy serial telewizyjny. W klasycie

teatralnej też sięga Pan najczęściej po satyrę, groteskę - przykładam choćby stosunkowo niedawny „Rewizor” Gogola. Na dużym ekranie oglądaliśmy pańskie komedie „Dzięcioł”, a następnie „Motylem jestem”. Skąd ta fascynacja komedią? Co Pana w niej pociąga?

- Otóż to! Wszyscy widzą moje realizacje komediowe, a niewiele na przykład się mówi, że Gruza reżyserował np. „Nie do obrony” Osborne’a... Zaszeregowanie reżysera do określonego gatunku wynika często z „publicity”, z charakteru wielkiej imprezy, jaką on kieruje. Dajmy na to, że tą imprezą jest festiwal piosenki. Oczywiście, ja mam pewne predyspozycje do widzenia rzeczy otaczających mnie w sposób komediowy. Ale to wcale nie znaczy, że patrzę na nie tylko w ten sposób, i że nie usiłuję się z takiego rodzaju patrzenia wyzwolić, poświęcić się bardziej formom dramatycznym. Może z pogranicza komedii i dramatu? Mnie zawsze interesowało w życiu owe przemieszanie elementów dramatycznych z komediowymi, wielkości z małością, grozy ze śmiesznością, wzniosłości z podłością. Czy nie sięgnąłem do tego w „Rewizorze” - poza całym szeregiem zabiegów formalnych, bardzo zresztą dla mnie w tym przedstawieniu istotnych - który wywołał tyle sprzecznych ocen wśród krytyki? Jeżeli chodzi o film kinowy, fabularny.. Właściwie, to tak naprawdę interesowałoby mnie zrobienie filmu grozy; ta tematyka mnie urzeka i pociąga. Nawet kiedyś zadebiutowałam, jako autor w „Przekroju” taką nowelą.

- Ale byłby to film grozy z elementami czarnego humoru?

- Jak powiada Hitchcock...

- Hitchcock byłby dla Pana wzorem?

- Nie. Już raczej Spielberg. To, co mnie pociąga u Spielberga to umiejętność osiągania pewnego szczególnego klimatu, nastroju niezwykłości, uczucia grozy - z odpowiedniego ustawienia, uporządkowania w szczególny sposób rzeczy i spraw zwykłych, normalnych, codziennych. Tak było w jego „Pojedynku na szosie”, tak jest w bardzo „przyszłościowych”, ostatnio nakręcanych „Bliskich spotkaniach trzeciego stopnia”. I nie o przybywających kosmitów mi tutaj chodzi - ze wszystkimi doskonałymi trickami technicznymi - ale o umiejętność wydobycia atmosfery grozy, jaka ogarnia przeciętnego obywatela na wieść o dziwnych wypadkach, o jakich jeszcze nie zdołał się nawet naocznie przekonać. Spielberg „robi” grozę - posługując się normalnym rewizytom, tak jak Czesi potrafili robić doskonałe komedie w oparciu o całkiem zwyczajne realia, jak choćby w przypadku „Miłości blondynki”. Zawsze interesuje mnie u wielkich twórców prostota pomysłu a dalej: prostota i logika działania w dochodzeniu do zamierzonego efektu. Jak w szachach.

- Od wielu lat jest Pan związany z telewizją. Ale czy czuje się Pan bardziej reżyserem telewizyjnym czy też telewizyjnym reżyserem filmowym? Czy po Prostu reżyserem filmowym?

- Jestem raczej „człowiekiem telewizyjnym”. Moje marzenia o kinowym filmie fabularnym wynikają z chęci przeniesienia się na pewien czas jakby w inny wymiar, z potrzeby psychicznego oderwania się od swojego „gatunku”. Poza tym, jest dla mnie fascynujące, że właśnie nadciąga zupełnie nowa era telewizji: rozpoczyna się rozwój telewizji kablowej. Przy wybraniu odpowiedniego kodu otrzymuje Pan na ekranie telewizora żądany film, koncert, informacje encyklopedyczną, serwis polityczny, ekonomiczny czy sportowy, wiadomości i wykresy na temat aktualnego stanu pogody, sytuacji no szosach itp. Wszystko skomputeryzowane, przechowane i przeliczone w stosownym archiwum, w pamięci mózgu elektronowego. Można będzie przy pomocy telewizji skontaktować się z lekarzem i zasięgnąć jego porady, rozwiązywać krzyżówki, grać w karty lub w szachy. Co więcej, skończy się pogląd o „jednostronności” telewizji. Po naciśnięciu odpowiednich klawiszy we własnym telewizorze będzie można np. odpowiadać na pytania testowe, wyrażać swój pogląd „tak” lub „nie” w toczącej się właśnie na ekranie dyskusji. Suma głosów zostanie natychmiast przeliczona przez komputer i pokazana na dole ekranu. Kablowa telewizja już w Ameryce istnieje i działa.

- Przyznam się, że powszechne skomputeryzowanie i „utele wizyjnienie” budzi w mnie raczej grozę niż zachwyty...

- Tak, funkcja telewizji ma perspektywę rozrośnięcia się do granic przerażających. Co jest i wspaniałe i smutne zarazem? Poczyszające jest dla nas tylko to, że jednak trzeba będzie te wszystkie zarówno „żywe” jak i te „katalogowe” programy produkować, że nadal będzie potrzebny aktor, reżyser, scenarzysta, operator kamery.

- Mówi się ciągle, o bolączkach i niedoskonałościach polskiego przemysłu rozrywkowego, o jego trudnościach rynkowych. Z czego ten stan, przede wszystkim, wynika?

- Proszę Pana, z rozrywką jest w ogóle na świecie dzisiaj bardzo ciężko. Przeczytałem niedawno interesujący artykuł jednego z najbardziej rzutkich teraz impresariów od spraw rozrywki - Roberta Stigwooda, który lansuje m. in. muzyczne filmy z niezwykle popularnym na Zachodzie aktorem i tancerzem - Johnem Travoltą: filmy „disco”. Rozpracowano w tym artykule to wszystko, co się ważnego na światowym rynku zdarzyło w dziedzinie przemysłu płytowego, filmowego, zespołów, piosenkarzy itp. I zwraca się uwagę na fakt ogromnego nacisku propagandowego w tym względzie, na wymyślność chwytów reklamowych. Jakie się stosuje, ogrom sum, jakie się na reklamę przeznaczają. Przy tym istnieje jeszcze wielki nacisk, bombardowanie potencjalnego odbiorcy, strumieniami informacji z zupełnie innej strefy niż rozrywkowa: sport, polityka, wiedza o świecie itd. Możliwość przebiccia się przez tę burzę wiadomości, informacji i propozycji jest naprawdę bardzo trudna. Wyjątkiem potwierdzającym tę regułę były ostatnio przyjęte entuzjastycznie w wielu krajach występy Boba Dylana, ale on pokazał się na estradzie po wielu latach pauzowania, no i to jest postać!

Zresztą Dylan na swoją popularność pracował całe lata... Więc może nie róbmy sobie specjalnych wyrzutów z powodu własnych trudności i problemów... Wybitna osobowość artystyczna albo - niezwykle, niekonwencjonalny pomysł. Oto, co się ostatecznie liczy w rozrywce. I tutaj właśnie dałbym przykład „Malczewskiego” w Teatrze Studio Wizji i Ruchu z Lublina. Zupełnie zaskakujące połączenie muzyki SBB z pantomimą. To wielki sukces Leszczyńskiego: zaryzykował taką koncepcją i... wygrał. Dzisiaj się o niego dobijają, a przecież jeszcze kilka miesięcy temu był to zespół zupełnie w Europie nieznaną. Teraz pracują nad „Bolerem” Ravela i bardzo jestem ciekaw jak ten znany na świecie utwór zostanie przez nich zobaczony, przetworzony. I jak to przyjmie międzynarodowa publiczność.

- A nad czym Pan obecnie pracuje?

- Skończyłem właśnie dla telewizji „Eryka XIV” Strindberga z Walczewskim, Nowickim i Bielską w głównych rolach. To bardzo trudna i skomplikowana sztuka; odłożyłem jej montaż do jesieni, kiedy odpocznę po sopockim festiwalu. Chciałbym się zresztą już powoli zacząć wycofywać z tych ogromnych przedsięwzięć estradowo-impresowych. Festiwal sopocki to ciężka praca i kolosalny wysiłek dla całej ekipy realizacyjnej, no i - oczywiście - dla samych wykonawców. A swoją drogą ma się ogromną satysfakcję w uruchomieniu „na żywo idącej” takiej ogromnej imprezy, z realizacji przedsięwzięcia, które ma ten jakiś nerw, jaki towarzyszył „Poznajmy się”, tylko, że w zwielokrotniony i sposób.

Pierwodruk: „Kamena”, 1978, nr 18, s. 3.